

HISTORIA MOJEJ RODZINY OCZAMI PRADZIADKA MIECZYŚLAWA

Wyobraźcie sobie, że urodziliście się w 1911 roku... W czas bardzo trudnym dla Waszych bliskich, dla Waszego kraju. Myślę, że ciężko Wam dziś sobie to wyobrazić, dlatego usiądźcie wygodnie i poświęćcie chwilę na wysłuchanie tej opowieści. Nazywam się Mieczysław Podlewski i opowiem Wam moją historię.

Urodziłem się 6 lutego 1910 roku w Komsomolsku, w powiecie berdyczowskim na Ukrainie. Pewnie dla Was to brzmi, jakbym żył w innej epoce i tak właśnie było. Były to czasy, kiedy Polski nie było na mapach świata. Kiedy miałem trzy lata, a był to 1914 rok, wybuchła I wojna światowa. Nie pamiętam za wiele z tych czasów... Z opowiadań Ojca i moich późniejszych doświadczeń wiem, że był to czas ciężki, brutalny. Były to cztery lata uciekania przed śmiercią, płaczu i głodu. W końcu 11 listopada 1918 roku zakończyła się wojna. Polska odzyskała niepodległość, a ludzie zaczęli odzyskiwać nadzieję na lepsze jutro. Moimi oczami, czyli oczami dziecka, sprawa wyglądała tak, że mój Ojciec i Wujek byli bohaterami, wracającymi z wojny. Czas leciał, a ja dorastałem. Uczyłem się, bawiłem się i marzyłem, żeby zostać żołnierzem. Kiedy miałem 8 lat, a był to rok 1919, urodziła się moja przyszła żona - Helena Olejarska. Żadne z nas nie wiedziało jeszcze, że kilka lat później zostaniemy małżeństwem. Musicie wiedzieć, że w tamtych czasach małżeństwa były aranżowane przez rodziców. Nie wiecie co to znaczy? Oznacza to, że rodzice decydowali za mnie, z kim się ożenię. W każdym razie ja i Helena wzięliśmy ślub w czerwcu 1937 roku i zamieszkaliśmy w Machnówce. Dwa lata później, 1 września 1939 roku, wybuchła II wojna światowa. Najgorsza wojna w historii świata. W 1940 roku zostałem zesłany do łagrów, uznano mnie za wroga politycznego z powodu działania w podziemiu. Na szczęście po trzech miesiącach udało mi się uciec i dotrzeć do domu. Wojna trwała, a my z Heleną doczekaliśmy się pierwszego potomka, córki Władysławy, która przyszła na świat w 1941 roku. Wojna szalała, ciężkie czasy. Śmierć i łzy już nikogo nie dziwiły. Kiedy przyszedł 1944 rok, powstała 1 Armia Wojska Polskiego, której zostałem żołnierzem. Tak ryzykowałem swoje życie dla dobra kraju i mojej rodziny, która w 1943 roku powiększyła się o kolejną córkę, Jadwigę. Już wracam do tematu, a więc moi drodzy, niestety nie brałem udziału w Powstaniu

Warszawskim, ale razem z innymi w 1945 roku ruszyliśmy na Berlin. Maszerowaliśmy godzinami, głodni, ale gotowi do walki. Po drodze musieliśmy walczyć o nasze życie, stoczyć wiele walk. Kiedy byliśmy już prawie pod Berlinem, okazało się, że wojna dobiegła końca i nadszedł czas powrotu do domu. Tak, wyobraźcie sobie, że wracaliśmy też piechotą. To miało swoje plusy, bo mogłem się zastanowić, co dalej robić, gdzie osiedlić się na stałe z rodziną, bo już wiedziałem, że chcę mieszkać w Polsce, a nie na Ukrainie. Już Wam tłumaczę, dlaczego. Po zakończeniu II wojny światowej wielu ludzi na wschodnich terenach Polski znalazło się w trudnej sytuacji z powodu zmian granic państwowych i wysiedleń, jakie z nimi były związane. W wyniku postanowień konferencji poczdamskiej w 1945 roku tereny wschodnie Rzeczypospolitej znalazły się w granicach Związku Radzieckiego, a Polacy mieszkający na tych terenach byli zmuszeni opuścić swoje domy i przenieść się na zachód, na tereny właśnie przyłączone do Polski. Jak sami widzicie, nie było innego wyjścia jak tylko szukać miejsca, gdzie wraz z moją żoną i córkami zaczniemy nowe szczęśliwe życie w naszej ukochanej Ojczyźnie. Miejsca, gdzie będziemy wolnymi ludźmi, gdzie będziemy mogli podjąć pracę, uprawiać ziemię i wychowywać nasze dzieci. Tylko jak rozpocząć nowe szczęśliwe życie, kiedy widziałeś na własne oczy tyle okrucieństwa i wiesz, że musisz zapewnić byt swoim najbliższym. Nie poddałem się, bo żołnierze się nie poddają.

Wiele dni wędrowaliśmy, żeby znów dotrzeć do Polski. Wszyscy zastanawialiśmy się, w jakie regiony się udać. Pewnego wieczoru jeden z moim kolegów zaczął opowiadać, że kiedyś na Dolnym Śląsku widział wysoki kościół i tam ma zamiar się osiedlić. Z jego opowieści wynikało, że jest to bardzo wysoki kościół, znajdujący się na górze, a wokół rozciąga się piękny widok. Pewnie pomyślicie, że byłem naiwnym głupcem. Możecie mieć rację, ale dla człowieka, który przeżył dwie wojny światowe i niejedno widział, była to bezpieczna przystań. Tak więc postanowiłem, że tam właśnie się osiedlę.

Była to długa, żmudna droga, głodowaliśmy i traciliśmy nadzieję. Czasami zastanawiałem się, czy nie zrezygnować, poddać się. Uwierzcie mi, dziś jestem szczęśliwy, że tego nie zrobiłem. Tak więc pewnego zimowego dnia, kiedy moi kompani już znaleźli swoje nowe domy, dotarłem do Wrocławia. Przez całą drogę wypatrywałem wysokiego kościoła, niestety nie znalazłem. We Wrocławiu udało mi się spotkać kilku znajomych. Kiedy opowiedziałem im, czego szukam, okazało się, że muszę iść w kierunku Poznania. Po nocy wspomnień, łez i pożegnań ruszyłem w dalszą drogę. Nie pamiętam jak długo szedłem, ale moje marzenie o zamieszkaniu obok kościoła umarło. Postanowiłem więc znaleźć inną piękną miejscowość. Dziś już wiem, że Wysoki Kościół to miejscowość koło Trzebnicy, której

nazwa pochodzi od świątyni wybudowanej na wysokim wzgórzu w 1296 roku. W końcu na mojej drodze pojawiła się mała miejscowość Sanie, położona na północ od Trzebnicy, niedaleko Żmigrodu w województwie dolnośląskim. Wieś ta była opustoszała, byłem pierwszym osiedleńcem. Domy nie były ruinami, w pobliżu znajdowały się lasy i piękne stawy, a wokół dostrzec można było hektary pól. Postanowiłem, że tu będzie nasz nowy dom, tu będziemy mogli zająć się rolnictwem. Zająłem więc trzy gospodarstwa w bliskim sąsiedztwie, a było to 17 lipca 1945 roku. Zapytacie pewnie, dlaczego byłem tak zachłanny i wzięłem aż trzy domy. Moi drodzy, pamiętajcie, że miałem jeszcze ojca i rodzeństwo, którzy tak jak ja chcieli osiedlić się w Polsce. Mijał kolejny rok od kiedy nie widziałem się z rodziną. Musiałem jak najszybciej przygotować wszystkie domy na przyjazd nowych właścicieli. Nie uwierzycie, ile pięknych rzeczy zostawili poprzedni mieszkańcy. Znalazłem mnóstwo pamiątek, starych książek, a nawet stare drewniane pianino. Czasami zastanawiałem się, kim byli ludzie tutaj mieszkający i jakie wiodli życie. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że będzie mi dane ich poznać. Ale o tym później. Mijały dni, a ja musiałem uzyskać zgodę na wyjazd na Ukrainę, po moich bliskich. W końcu się udało dostać pozwolenie na wyjazd po rodzinę. Pomógł mi w tym Państwowy Urząd Repatriacyjny oraz Polsko-Radziecka Komisja Mieszana do Spraw Ewakuacji, która wystawiła nam zaświadczenia na przyjazd do Polski. Moja podróż do Komsomolska była żmudna i długa. Wspomnę Wam, że w tamtych czasach trzeba było mieć pieniądze na łapówki, inaczej nic bym nie załatwił. Cóż począć, każdemu zależało na pieniądzach. Wtedy była to dla nas jedyna metoda, aby załatwić jakąś sprawę.

Podróż była ciężka. Trzeba było uważać na złodziei i oszustów. Pociąg był przepełniony ludźmi, którzy tak jak ja wracali po swoje rodziny, ale i takimi, którzy wracali na Ukrainę, bo tam zostało ich serce. Nie mnie było oceniać wybory innych. W pociągu dzieliliśmy się chlebem bądź tym, co było do jedzenia. Dotarłem do Komsomolska i odetchnąłem z ulgą, że moja rodzina jest cała i zdrowa. Łzom nie było końca, bo wszyscy myśleli, że poległem w czasie walki. W międzyczasie okazało się, że po ciężkiej chorobie zmarła moja matka. Tak moi drodzy, wtedy proces przepływu informacji był koszmar. Ludzie uznani za poległych na polu walki, po latach okazywało się, że żyją. Tak właśnie było z mężem mojej siostry. Aniela dowiedziała się, że jej kochany mąż został uznany za zmarłego, więc po okresie żałoby wyszła drugi raz za mąż. Pewnego dnia człowiek, który od lat oficjalnie nie żył, zapukał do jej drzwi. Aniela, szczęśliwa żona i matka dzieci, przeżyła taki szok, że się rozchorowała i umarła.

Przepraszam Was najmocniej, ale odbiegłem od tematu. Tak więc po długich rozmowach okazało się, że moja żona Helena pracuje w fabryce z materiałami. Oczywiście została zmuszona do tej pracy. Moje córki, Władysława i Jadwiga, to zdrowe uśmiechnięte dzieci. Kiedy opowiedziałem, że znalazłem idealne dla nas miejsce, wszyscy zgodzili się porzucić dotychczasowe życie na Ukrainie i wracać do Polski. Nie przerażała ich ciężka, pełna wyrzeczeń podróż. Przyznam się Wam, że ja trochę bałem się podróży z dwójką dzieci. Po tak długim czasie rozłąki odzwyczaiłem się od roli męża i ojca, w związku z czym nie było nam łatwo. Moja żona pozostawiła na Ukrainie całą rodzinę. Mamę z sześciorgiem siostr. Czasami mam wyrzuty sumienia, że na zawsze rozdzieliłem ją z rodziną, bo pewnie czasami czuła się samotna. Moja żona była wspaniałą kobietą i nigdy się nie skarżyła.

Tak więc po pożegnaniach i zabraniu najpotrzebniejszych rzeczy, ruszyliśmy w podróż do Polski. Jak dziś pamiętam numery naszych zaświadczeń na wyjazd. Mój numer to 20652, a numer Heleny z dziećmi to 15590. Było to coś w rodzaju dzisiejszych paszportów. Na każdym przystanku, a było ich kilka, dostawaliśmy wpis o przybyciu. Pierwszym takim przystankiem były Tarnowskie Góry, do których dotarliśmy 21 maja 1946 roku. Tu zostaliśmy przesłuchani przez służby wojskowe, które musiały wiedzieć, dlaczego i po co przyjechaliśmy. Oczywiście nie obeszło się bez „drobnych opłat”, żeby uzyskać pozwolenie na dalszą podróż. Zatrzymaliśmy się u mojej bliskiej kuzynki, bo musieliśmy czekać jakiś czas na zgodę na dalszą podróż. Dnia 24 sierpnia 1946 roku udało nam się dotrzeć do Milicza. Byliśmy coraz bliżej domu. Tu musieliśmy znów załatwić bardzo dużo spraw urzędowych. W tamtych czasach takie formalności trwały bardzo długo. Tu poinformowano nas, że musimy przetłumaczyć wszystkie nasze dokumenty na język polski. I tu Wam zdradzę pewną ciekawostkę, która może być dla Was dużym zaskoczeniem. Wyobraźcie sobie, że po wojnie wszystkie dokumenty zaginęły lub zostały zniszczone. Tak więc masz tylko to co udało ci się uratować. Niestety w tamtych czasach, bez zbędnych formalności zmienili nam datę urodzenia. Tak moi mili, bez zgody mojej żony, a podobno dla jej dobra, zmienili jej rok urodzenia na 1920. Nie pytajcie mnie dlaczego, bo tego nie wiem. Tak miało być i nikt z tym nie dyskutował, bo się zwyczajnie bał. Wracając do naszego dłuższego przystanku w Miliczu, muszę powiedzieć, że tutaj ja, dzieci i Helena dostaliśmy parę butów dla każdego, co również było odnotowane w zaświadczeniu o przejeździe. W latach powojennych wszystkie rzeczy czy nawet jedzenie, które dostawaliśmy, było odnotowywane. Zapytacie dlaczego, ano dlatego, że nie było praktycznie niczego i żeby obywatel jeden z drugim czasem nie stanął w kolejce po kolejny ekwiwalent. Kończyło się lato, a my nadal nie mogliśmy dojechać do

naszego domu. Wszyscy byli już zmęczeni tą podróżą. Na szczęście wszyscy byliśmy zdeterminowani, żeby zacząć nowe życie, życie - co było naszym marzeniem - w dostatku i w spokoju. W kraju, który powstał z popiołów. Powiem Wam, że nie obyło się bez kłótni, łez i bez problemów. Wszędzie rozchodziło się o pieniądze, których wszędzie brakowało. Dlatego jak tylko mogłem i gdzie mogłem, chwyciłem się dorywczych prac jako stolarz, bo z zawodu jestem stolarzem. W końcu pod koniec upalnego lata, a dokładnie 12 września 1946 roku, dotarliśmy do Żmigrodu. Jest to miasto położone w województwie dolnośląskim, dawniej było położone na terenie Niemiec i nazywało się Trachenberg, a jego dawna polska nazwa to Straburek lub Stramburek. Natomiast nazwa Żmigród wzięła się z legendy o tym, że miasto to było „grodem żmij”. Tu też zostaliśmy wpisani jako mieszkańcy wsi Sanie i mogliśmy w końcu udać się do naszego domu. Czekala nas teraz ciężka praca w polu i w domu. Musieliśmy przygotować dom na zbliżającą się zimę. Było to bardzo pilne, ponieważ spodziewaliśmy się kolejnego dziecka. Roboty było co niemiara! A to z tego powodu, że wojska radzieckie urządziły sobie w nim składowisko na zboże, które było w każdym możliwym pomieszczeniu naszego domu. Powiem Wam, że nie był to dla nas łatwy czas, naszym córkom było ciężko przyzwyczaić do nowego domu. Płakały, bały się, ale po jakimś czasie zaczęły się przyzwyczajać do nowego domu, a z biegiem czasu pokochały to miejsce tak jak my. Udało mi się zatrudnić jako stolarz przy remoncie zniszczonej plebani przy kościele św. Jana Chrzciciela w Powidzku. Spędziłem w tym miejscu wiele godzin na modlitwie za moją matkę, ludzi którzy zginęli. Życie byłego żołnierza nie jest łatwe. Moja rodzina niestety wiele razy też to odczuła. Przyszedł rok 1947, na świecie pojawiła się nasza trzecia córka Marysia. W związku z tym, że w Polsce nie byliśmy oficjalnie małżeństwem, 19 kwietnia 1947 roku wzięliśmy ślub w tutejszej parafii. Nasza rodzina w końcu w całości dotarła do Sań - moja siostra z drugim mężem i z dziećmi. Jak już wspomniałem wcześniej, zmarła w 1948 roku w wyniku ciężkiego szoku. Mój ojciec z bratem i jego rodziną również zamieszkali obok nas. Przyszła wiosna, a z nią pora na roboty w polu. Myślę, że śmiało mogę powiedzieć, że wtedy zaczęliśmy pomału spełniać swoje marzenie o lepszym życiu w ukochanej ojczyźnie. Latem, a dokładnie 21 lipca 1947 roku, udało mi się w końcu uzyskać akt nadania domu oraz ziemi o numerze 1994/47 wydany przez Ministerstwo Ziem Odzyskanych. Powiatowa Komisja Osadnictwa Rolnego potwierdziła, że nabyłem 12 ha gruntów ornych, budynek mieszkalny oraz budynki gospodarcze, jedną krowę i jednego konia z przydziału oraz tak zwany inwentarz martwy, czyli: kosiarkę, pług, dwuskibowiec, siewnik, jedna brona, młockarnia, sieczkarnia. Wtedy byłem uznawany za majątnego gospodarza i moja osoba dużo znaczyła w towarzystwie. Dni mijały, a sytuacja na świecie zaczynała być

coraz bardziej stabilna. W roku 1949 doczekaliśmy się z Heleną pierwszego syna Bronisława. Jaki byłem dumny! Wiecie, że dla mężczyzny najważniejsze to posiadać syna. Sytuacja polityczna w kraju również się zmieniała, dlatego też postanowiłem zostać członkiem partii politycznej. Powiem Wam, że była to dobra decyzja. Moja rodzina miała łatwiejszy dostęp do wielu dóbr.

W 1950 roku, ku naszemu zdziwieniu, przyszedł list od poprzednich mieszkańców naszego domu. Opowiedzieli nam swoją historię, mogliśmy dowiedzieć się, że nasz dom zamieszkiwała samotna Niemka z dwójką synów. Jej mąż zginął na wojnie. Postanowiliśmy z Heleną zaprosić ich do nas. Niektórzy pomyśleli, że chcą nam odebrać dom, że popełniamy straszliwy błąd. Natomiast my uważaliśmy, że mamy wspólną historię. Nasi goście zjawili się latem tego samego roku. Przywieźli różne prezenty dla dzieci i dla nas. Niestety nasza komunikacja była mocno ograniczona ze względu na język. Później z biegiem lat nadal utrzymywaliśmy kontakt. Aż do śmierci ostatniego syna.

Lata leciały, żyło nam się bardzo dobrze. Nasz sen o szczęśliwym życiu w ukochanej ojczyźnie spełnił się. W 1955 roku przyszedł na świat nasz kolejny syn Józef. Moja żona Helena ogromnie tęskniła za rodziną, która pozostała w Ukrainie. Wyruszyła więc w sentymentalną podróż do rodzinnej Machnówki. Tam z radością i wielką miłością została powitana przez swoją matkę Annę Olejarską z domu Judzińską, brata, siostry i ich dzieci. Z opowiadań mojej żony wynikało, że życie na Ukrainie diametralnie się zmieniło. W tamtych latach Ukraina była jednym z największych i najbardziej zasobnych terytoriów w ZSRR, ale życie mieszkańców wciąż było trudne ze względu na niedobory żywności, ograniczenia w dostępności towarów oraz brak wolności słowa i działania. Bardzo się cieszyłem, że jednak nasze serca zostały w Polsce i dzięki podjętym decyzjom wiedliśmy udane życie na wysokim poziomie w naszych pięknych malowniczych Saniach. Niestety była to pierwsza i jedyna podróż Heleny do rodzinnych stron. Później historia jej rodzeństwa potoczyła się różnie. Najprawdopodobniej większość jej rodzeństwa zginęła z powodu sprzeciwu wobec systemu. Niestety nigdy już nie dowiemy się, jak było naprawdę. W 1959 roku na świat przyszedł nasz ostatni syn Wiesław. W tym miejscu przyznam się, że mój najmłodszy syn miał mieć na imię Sławomir, jednak byłem zagorzałym fanem towarzysza Wiesława Gomółki i na jego cześć moje dziecko otrzymało jego imię. Oczywiście ta decyzja nie spodobała się mojej żonie. Musicie zrozumieć, że to były czasy, kiedy mężczyzna był głową rodziny i decydował o takich sprawach.

Nie wiem, jak potoczyłoby się moje życie, gdybym podjął inne decyzje. Moje doświadczenia życiowe ukształtowały mnie w sposób najbardziej bolesny. Przeżyłem dwie wojny światowe, widziałem, jak giną moi najbliżsi, przyjaciele lub zupełnie niewinne osoby. Doświadczyłem głodu, okrucieństwa i biedy. Musiałem doświadczyć pobytu w obozie pracy, żeby zrozumieć, że najważniejsza w moim sercu jest moja Ojczyzna. W głębi duszy całe swoje życie byłem żołnierzem. Ciągłe wydawało mi się, że wybuchnie wojna, że przyjdą i nam wszystko zabiorą. Myślę, że w pewnym sensie również ucierpiała przez to moja rodzina. Na całe szczęście miałem mądrą żonę, która potrafiła przywołać mnie do porządku, zadbać o to, żeby nasza rodzina była szczęśliwa, a nasze dzieci wyrosły na mądrych i odpowiedzialnych ludzi. Proszę Was o jedno, nie oceniacie mnie ani mojej rodziny, bo wszyscy mamy jakąś historię. Ja przekażę swoim dzieciom to, co Wam, żeby oni byli dumni ze swoich korzeni i nigdy nie zapomnieli, skąd pochodzą i co zrobili ich przodkowie, żeby mogli żyć w dostatku i w wolnym kraju. Wspomnę Wam jeszcze, że w 1980 roku zostałem odznaczony orderem Krzyża Walcznych oraz orderem za zdobycie Berlina. Była to wzruszająca chwila.

Mój pradziadek zmarł 3 lipca 1994 roku w domu, który sam wybrał. Moja prababcia Helena zmarła 6 lutego 1996 roku również w naszym domu. Oboje mieli trudne życie. Piętno ich historii na zawsze pozostanie w naszej rodzinie. Jestem dumna, że jestem ich prawnuczką, że nadal mogę mieszkać w domu przez nich wybranym. Dzięki nim mam cudowną rodzinę i historię, która jest przekazywana z pokolenia na pokolenie.

Dziękuję Wam za życie, za historię i dziedzictwo.

Wspomnienia z rodzinnego albumu:

Fot.1 Moi pradziadkowie Helena i Mieczysław Podlewscy



Fot.2 Zaświadczenia o przyjeździe



